

Sonia Termion pyta, Stanisław Gomułka odpowiada, 25-ty sierpień 2010
Dział Opinii,
Fakt, publikacja wkrótce

Nie będzie rewolucyjnych zmian w OFE, tylko próba poprawy tego, co jest. To dobrze?

- Zdecydowanie dobrze. To oznacza de facto odrzucenie propozycji ministrów Fedak i Rostowskiego i przychylenie się premiera do propozycji ministra Boniego oraz opinii ekonomistów. Zwolennicy pozostawienia systemu emerytalnego w obecnym kształcie zwracali uwagę, że reforma emerytalna sprzed 10 lat była wówczas uważana za jeden z większych sukcesów rządu Buzka oraz, że powstała w wyniku konsensusu politycznego - partii postsolidarnościowych ale także SLD. Reforma sprawdziła się w ostatnich 10 latach. Wyniki OFE są lepsze niż np. funduszy inwestycyjnych i należą do najlepszych w Europie, pomimo różnych ograniczeń. Jest jednak faktem, że jak dotąd OFE sporo kosztowały, ponieważ w pierwszym etapie dochody były niewielkie, a koszty funkcjonowania tych instytucji były spore. Może zbyt wysokie. Ostatnio zostały jednak mocno zredukowane, a są jeszcze dalsze możliwości poprawy pod tym względem.

Nie da się jednak ukryć, że emerytury przynajmniej na razie wypłacane z OFE są bardzo niskie, że przez wiele lat pobierały one niezwykle wysoką, jak podkreślał premier - najwyższą w Europie - prowizję. Mocno sprzeciwiały się planom zmniejszenia jej. Czy to nie jest tak, że jak dotąd jedynym beneficjentem reformy emerytalnej są same OFE?

- To nie jest tak, bo system działa dopiero 10 lat. Odprowadzanie składek przez 10 lat nie może gwarantować wysokiej emerytury. Wysoką emeryturę otrzymuje się po przynajmniej 30, a raczej 40 latach składania. Pamiętajmy, że uczestnicy OFE mają też emeryturę z ZUS. Chodzi o to, by te dwie emerytury plus ewentualnie trzecia - z trzeciego filara - dawały w sumie przyzwoitą emeryturę w wysokości przynajmniej 50 proc. ostatniej pensji.

A co z interesem budżetu? Reforma przyczynia się do zwiększenia deficytu. Wiceminister finansów Ludwik Kotecki mówi wręcz, że "nie stać nas na taki gadżet jak OFE".

- Mnie się raczej bardziej podoba to, co mówił na ten temat minister Rostowski, czyli, że wtedy kiedy reforma emerytalna była wprowadzana, automatycznie należało wprowadzić inne reformy emerytalne, które by zmniejszyły wydatki ZUS. Należało dostosować wydatki ZUS do zmniejszonych dochodów.

Ale tego nie zrobiono.

- Tak, więc to co mamy w tej chwili nie jest złym skutkiem istnienia OFE, lecz złym skutkiem braku reform towarzyszących wprowadzaniu funduszy.

Nie da się jednak ukryć, że deficyt jest większy.

- I deficyt i dług publiczny.

A jak to się właściwie stało, że będąc "zieloną wyspą" narobiliśmy tak ogromnych długów?

- Te "ogromne długi" pojawiły się z dwóch powodów. Po pierwsze zmniejszyły się dochody państwa przez obniżkę PIT (9 mld), redukcję składki rentowej (ok. 25 mld), wprowadzenie ulgi na dzieci (6 mld). Minister Rostowski oceniał te ubytki na ok. 40 mld zł w 2011 r. To zmniejszenie dochodów nie ma nic wspólnego z kryzysem gospodarczym na świecie. Druga przyczyna, to silny wzrost wydatków. Miał on miejsce już za rządów PiS. Problem polega na tym, że był kontynuowany za rządów Tuska. Mieliśmy więc do czynienia z, w zasadzie, tą samą polityką fiskalną rządów PiS i PO - obie ekipy obniżały dochody i jednocześnie zwiększały wydatki np. na podwyżki dla nauczycieli, na podwyżki dla policji (za PiS), na administrację, szczególnie samorządową. Silna konkurencja między tymi obiema partiami doprowadziła je do pewnego rodzaju populizmu.

A może PO po prostu wyciąga wnioski z porażek poprzedników, np. Unii Wolności?

- Niewykluczone.

W reakcji na zły stan finansów państwa rząd wprowadza wzrost VAT o 1 punkt proc. We wcześniejszych wypowiedziach, twierdził pan, że to za mało, czemu?

- Aby zmniejszyć deficyt finansów publicznych z obecnych ok. 7 do ok. 1-2 proc. trzeba szybko wprowadzić program ratunkowy w wysokości 50-60 mld zł w ciągu najbliższych trzech lat. To, co rząd proponuje, ma się nijak do skali wyzwania, mimo że rządowa diagnoza sytuacji jest właściwa. Jakby rząd nie słyszał własnej analizy.

Co by pan proponował w tej sytuacji? Czy nie należy jednak rozważyć przywrócenia poprzednich stawek PIT, choćby tymczasowo?

- Mam swój pogląd jak powinien wyglądać sensowny program naprawy finansów, ale nie jest moją rolą zastępować rządu w tej sprawie. Z każdą decyzją związane są bowiem ryzyka polityczne. Oczekuję jednak od rządu przynajmniej otwartego przyznania, że potrzebny jest program ratunkowy w skali 50-60 mld zł - częściowo środki te należy pozyskać ze zwiększenia dochodów, a częściowo - ze zmniejszenia wydatków. Ważne jest to, że nie jesteśmy jeszcze w sytuacji otwartego kryzysu i możemy rozłożyć wprowadzenie

takiego programu na powiedzmy 3 lata.

A lepiej zmiany te wprowadzać kosztem mało i średniozarabiających czy może zamożnych?

- Nie mam nic przeciwko obciążeniu bogatych ludzi, tyle że ich mamy w Polsce niewielu.

Ale może byłby to jakiś sygnał dla społeczeństwa?

- Jako sygnał, to to może być, ale nie jako rozwiązanie problemu. Rozwiązanie problemu musi dotyczyć milionów.

Na przykład jakie?

- Np. przy malejącej liczbie dzieci mamy nadwyżkę nauczycieli, którą minister edukacji oceniała na 150 tys. czyli ok. 1/4 z ogólnej liczby. Jednak ani pani minister, ani premier nie chcą proponować jakiegoś bardziej radykalnego podejścia.

Czyli po prostu zwolnienia tych ludzi?

- No właśnie. Ale chodzi o to, by zwolnić ich bez konieczności wypłacania jakichś dużych odpraw. Więc tu jest problem.

A co jeśli rząd nie wprowadzi takiego planu ratunkowego?

- Zmierzamy w kierunku przekroczenia przez dług publiczny progu 55 proc PKB.. A ustawa o finansach publicznych w takiej sytuacji nakazuje natychmiastowe dyscyplinowanie finansów, a więc rewolucję z roku na rok.

Ale pamięta pan, że np. Jan Krzysztof Bielecki rozważał zniesienie tego progu ostrożnościowego.

- Rozważał, ale rząd na razie, w moim przekonaniu słusznie, nie zmienił tej regulacji. A jeśli zmieni, to wtedy zdyscyplinuje nas rynek.

Inwestorzy nie będą kupowali naszych obligacji?

- Tak, nie będą kupowali przy obecnych stopach procentowych. Wtedy wzrośnie, być może znacznie, oprocentowanie naszych długów i wobec tego także koszt obsługi naszego około 700-miliardowego zadłużenia. A to też będzie oznaczało konieczność raptownego działania tak, jak na Węgrzech kilka lat temu czy w Grecji wiosną br..

Patrząc na dotychczasowe działania rządu jest pan optymistą?

- Nie jestem całkiem pesymistą. Rozumiem bowiem polityków PO, którzy nie

chcą w tej chwili być bardzo otwarci i precyzyjni z uwagi na zbliżające się wybory parlamentarne. I silną konkurencją ze strony dość populistycznej partii jaką jest PiS. Dopuszczam więc możliwość, że po wyborach, po których PO będzie mogła samodzielnie rządzić, uzna, że ma mandat społeczny do wprowadzenia zmian.

Pod warunkiem, że będzie mówiła prawdę w kampanii.

- Nie jestem pewny czy będzie mówić prawdę w kampanii. Nie oczekuję tego od niej. Ale oczekuję, że pod presją rosnących zagrożeń powtórzenia w Polsce kryzysu takiego, jaki był na Węgrzech, rząd będzie zmuszony do działań bardziej zdecydowanych zaraz po wyborach.

Kto zapłaci za naprawę finansów publicznych?

- W dużym stopniu wszyscy. Jest sprawa rozłożenia tych kosztów, co należy do polityków.

Tak czy inaczej Polacy będą musieli zacisnąć pasa?

- Pani to nazywa zaciśnięciem pasa i ja nie ma obiekcji przed takim sformułowaniem.

W jednym z ostatnich wywiadów dla Faktu przewidywał pan, że 2012 rok będzie rokiem dużego wzrostu gospodarczego. Podtrzymuje pan tę prognozę?

- Idziemy w kierunku dobrej koniunktury. Jest silna poprawa sytuacji w Niemczech. W 2011 roku będziemy mieli wzrost rzędu 3-4 proc., natomiast w latach 2012,13,14 jest możliwy wzrost w tempie 5-6 proc. rocznie, czyli satysfakcjonujący.